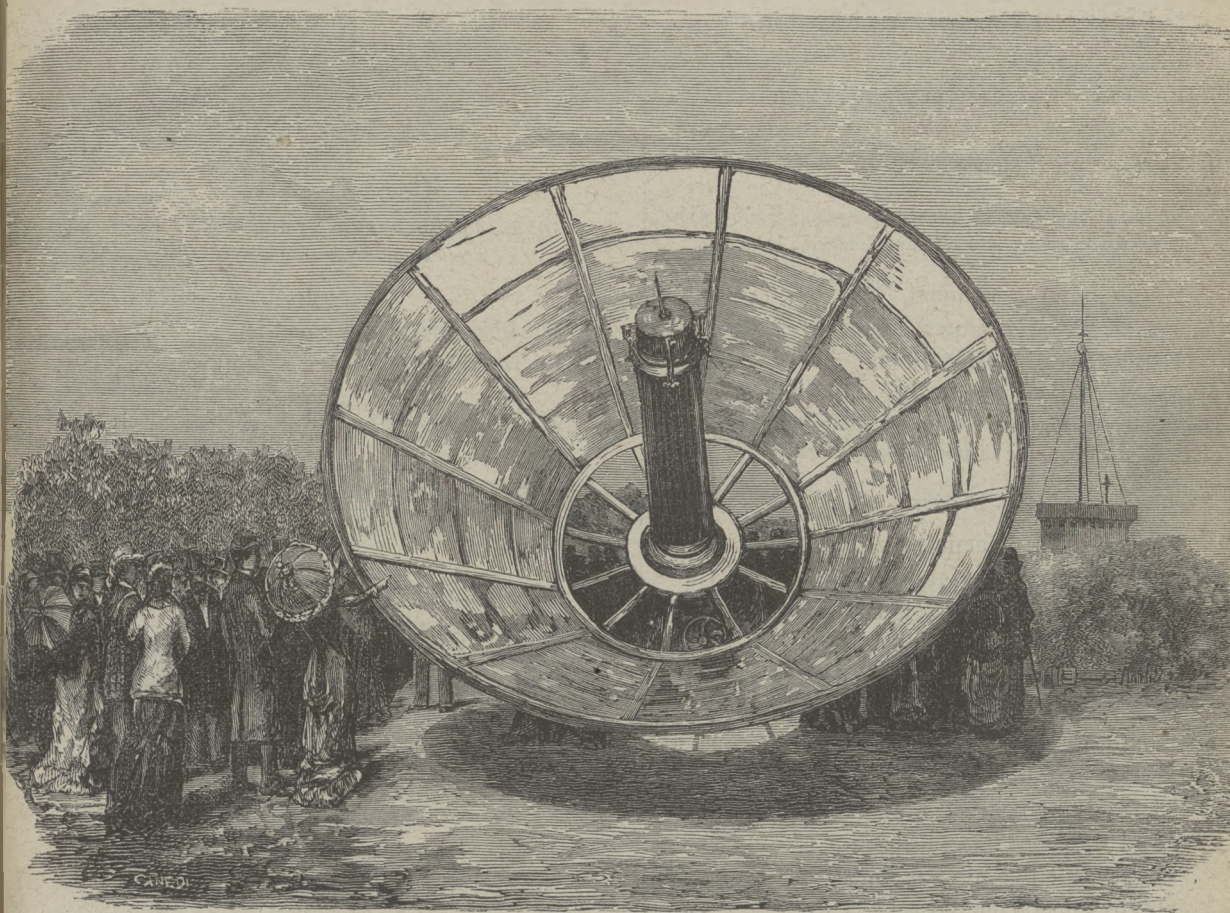


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[24]



Przyrząd do z użytkowania ciepła słonecznego.

Przyrząd do z użytkowania ciepła słonecznego.

W N-rze 14 naszego Pisma podaliśmy wam, czytelnicy, opis i rysunek zwierciadła palącego z czasów dawniejszych. Dziś widzicie znów przyrząd podobny, obmyślony niedawno przez Francuza, p. Mouchota. Olbrzymie zwierciadło metalowe, na rycinie przedstawione, ma sześć metrów średnicy, gromadzi też mnóstwo promieni ciepła i ogrzewa duży walec szklany, umieszczony w ognisku zwierciadła, to jest w miejscu, gdzie się

gromadzą promienie ciepła. Można w tym walcu z łatwością gotować wodę do różnych użytków.

Ale p. Mouchot umieszcza także w ognisku swojego przyrządu, rondelki rozmaite i gotuje w nich rosół lub smaży mięso. Jedzenie to przyrządzone na słońcu, smakuje tak zupełnie jak zwyczajne przy ogniu z węgla lub drzewa zrobione.

Na nieszczęście w naszym klimacie często bywa pochmurno, a przyrząd ten, w braku słonecznych promieni, nie może gromadzić ciepła. Za to w krajach zwrotnikowych, gdzie niebo prawie zawsze jest pogodne, takie zwierciadło palące może być bardzo pożyteczne.

KTO POD KIM DOŁKI KOPIE, SAM W NIE WPADA.

przysłówie dramatyczne,

w II-eh aktach,

przez M . . a.

OSOBY.

PANI JANICKA (*ochmistrzyni pensyi*).PANNA EMMA, (*nauczycielka*).

P. KROŃSKA

P. MORSKA

P. BOROWSKA

} (*uczennice*).

KILKA INNYCH UCZENNIC STARSZYCH I MŁODSZYCH.

SCENA I.

(Klasa na pensyi pani Janickiej; lekcyja geografii; panny siedzą w ławkach; panną Emma i pani Janicka z boku).

P. EMMA.

Panna Krońska słowy swemi
Niech określi postać ziemi.

(P. Krońska wstaje i mówi dosłownie z książki, bez żadnego zastanowienia, jaskając się, ale bardzo prędko, jak to dziś jest w zwyczaju u niektórych pensyonarek).

P. KROŃSKA.

Postać ziemi: Ziemia nasza,
Jak nauka nam ogłasza,
Jest to bryła w kształcie kuli,
A wiadomość tę wysnuli
Ludzie z morskich swych podróży.
Ktoby jechał jak najdłużej,
Z miejsca swego zamieszkania,
W stronę, gdzie się słońce skłania,
Ten, gdy z drogi się nie zwróci,
Zkąd wyjechał tam powróci;
Coby wcale być nie mogło,
Gdyby ziemia nie okrążyła
Swą powierzchnię wielką miała,
Ale gdyby była cała
W ciągu owęj długiej drogi,
Tak spłaszczona, jak podłogi
Albo stoły lub tablica.
I dla tego też oświeca
Słońce najprzód wszystkie szczyty,
Nim w doliny zajrzą świty.
W księżycowe też zaćmienia,
Widzim krągłość tego cienia,
Jaki ziemia na księżycu
Wtedy rzuca blade lica.

P. EMMA.

A więc Krońska nam powiada,
Że jest ziemia jaka?...

P. KROŃSKA (*prędko*).

B... b... błada!

(P. Emma spogląda na panią Janicką która nż oczy zakrywa; panny wybuchają śmiechem; p. Krońska zawstydzona patrzy na nie gniewnie).

P. EMMA.

A do czegoż ludziom służy
Doświadczenie z tych podróży
Morskich, długich, w koło świata,
Które nieraz trwały lata?
Z téj na zachód długiej drogi?
Że jest ziemia?...

P. KROŃSKA (*prędko*).

Jak podłogi!

Nie... to... to... jest... (*Panny śmieją się*).

P. EMMA.

Czemuż szczyty
Błyszcza pierwsze w ranne świty?
(P. Krońska milczy bardzo zawstydzona).

P. EMMA.

Na księżycu w czas zaćmienia
Co widzimy?

P. KROŃSKA (*prędko*).

Krągłość cienia!

P. EMMA.

Cień ten zkąd jest?

(P. Krońska milczy, panny chichoczą).

P. EMMA (*do panien*).

Mam nadzieję,
Że kto z Krońskiej tak się śmieje,
Ten nam rzecz tę wytłómaczy.
Zkąd ten cień jest?

(*Milczenie*).

P. EMMA.

Ot co znaczy

Pamięciowa ta nauka,
W której na tém cała sztuka,
By powtarzać tyle razy,
Aż spamięta się wyrazy.
Dźwięki raczej, jak papuga,
Albo nawet sroka druga,
Jak nie człowiek, nie dziewczynka
Ale szejne-katarynka!
Wszakże to, co jest zadano,
Tłómaczyłam w Piątek rano,
Wyraz w wyraz ustę cały,
Aż panienki zrozumiały,
I prosiłam: słowy *swemi*
Opisywać postać ziemi,
Biorąc z książki treść tę tylko,
Objaśnioną już przed chwilą.
Ale mimo zalecenia,
Zapomniano objaśnienia,

Nie pracując wcale głową,
Wyuczono słowo w słowo,
Zkąd wypada w rezultacie,
Że nie wiecie, co paplacie,
Że choć papie tak, aż szumi,
Panna wcale nic nie umie!

Panna Morska w własném słowie
Postać ziemi niech opowie!

P. MORSKA (*jękając się z razu*).

Postać ziemi jest... jest nasza,
Jak nauka nam ogłasza,
Jest to bryła w kształcie kuli,
A wiadomość tę wysnuli...

P. EMMA (*przerywając*).

Jaką to wiadomość ludzie
W podróżniczym czerpią trudzie?

P. MORSKA.

Taką, taką...

P. EMMA.

Jaką? panny!

PANNY.

— Tę, że... Świt szczyt... Świt poranny...
— Nie tak! to jest... blade lica...
— Stół... Podłogi... Jak tablica...
— To jest niby w kształcie kuli (*coraz prędzej*),
A wiadomość tę wysnuli
Ludzie z morskich swych podróży.

P. EMMA.

Oho! jazda!

P. MORSKA (*coraz prędzej*).

dróży... dróży...

Ktoby jechał jak najdłużej,
Z miejsca swego zamieszkania
W stronę, gdzie się słońce skłania,
Ten, gdy z drogi się nie zwróci,
Zkąd wyjechał tam powróci,
Coby wcale być nie mogło,
Gdyby ziemia nie okrążyła,
Swą powierzchnię wielką miała,
Ale gdyby była cała,
W ciągu dłuższej owiej drogi
Tak spłaszczona jak podłogi,
Albo stoły, lub tablica.
I dla tego też oświeca
Słońce najprzód wszystkie szczyty,
Nim w doliny zajrzą świty,
W księżycowe też zaćmienia. .

P. EMMA (*wstaje*).

Trzeba by być bez sumienia,
Żeby uczyć takie dzieci!
Jeśli więc was nie oświeci
Słońce prawdy i rozsądku,
Jeśli zamiast szukać wątku,
Tak jak dawniej, w każdym zdaniu,
Trwać będziecie w tém paplaniu,

Które z dziwną chwastów siłą
Wpółród was się rozpleniło,
To choć w przełożonej względzie
Bardzo mi to przykro będzie,
Przecież bywać tu przestanę!
Nieposłuszne, ukochane,
Namyślicie się!

(P. Emma żegna panią Janicką; panny otaczają nauczycielkę, żegnając ją i przepaszając).

P. JANICKA.

Wstyd mi jest za panny moje,
Żle nam płacą nasze znoje,
Lecz to minie, mam nadzieję.

(P. Emma wychodzi).

SCENA II.

P. JANICKA.

Moje dzieci, cóż się dzieje?
Od tygodnia razy wiele
Wszyscy wam nauczyciele
Mówią, że gdy się uczycie,
Pojąć trzeba należycie
Każdy wyraz, każde słowo.
Różnim się od zwierząt mową,
Lecz nie dźwięków powtarzaniem,
Ale tychże pojowaniem,
Boć powtarzać dźwięki może
Różne też stworzenie Boże,
Nie już sroki i papugi,
Ale szereg twórców długi.
Pięknież to dla pensyonarki
Uczyć się tak, jak kanarki?

PANNY.

Oh!..

P. JANICKA.

By panny pamiętały
O dzisiejszej sprawie całej,
Gdy dowiodły dziś wymownie,
Że im uczyć się dosłownie
Jest tak łatwo, więc w południe
Wierszykami je zatrudnię.
Powrót Taty, krótki wcale,
Proszę umieć doskonale.

(P. Janicka wychodzi).

SCENA III.

(Panny stoją przez chwilę zdumione, nagle robi się krzyk, gdy mówią jedna przez drugą)

PANNY.

— Dziś? prócz lekcji *Powrót Taty*?
— To trzy światy! — Cztery światy!
— Któż wydaży? — Kto podoła?
— Niemożliwe to jest zgola!

P. MORSKA (*która zajęta była książką*).

Co takiego?

PANNY.

Morska nie wie,
I o karze i o gniewie!
To się biedna zadumała!

P. MORSKA.

Bo w tém Krońskiej wina cała!
Wszak to wszystko jój namowa,
Że się uczym co do słowa!
Z nią tu przyszedł zwyczaj nowy

P. KROŃSKA.

(Chodząc po scenie z pyszną miną, założywszy w tył ręce).

Tak! bo to nie męczy głowy!
Tak jest dziś na wielkim świecie,
Tylko wy tu nic nie wiecie!
Jam z większego jest zakładu,
Więc was tutaj ucze ładu!
Myślą głowę męczyć szkoda,
Tak jest dzisiaj! taka moda!

U was tutaj śmieszne dziwy,
System stary niegodziwy!
I z tym synkiem, czy tam dziadkiem,
Czy też wnukiem, czyli tatkiem,
To historia także dzika,
Z tego można dostać bzika!
W południowej téj godzinie,
Co jak jedna chwila minie,
Miast śniadania i spoczynku,
Ja bym miała o tym synku,
Czy o tatce tym się uczyć?
O! zanadto chcą dokuczyć!

PANNY (mówią kolejno jedna po drugiej).

— Trudna rada! — Ucz się żwawiej
To się rańsze złe naprawi.

(Siniąca wnosi tacę z bułeczkami, panny rozchwytyją je, ona odchodzi).

PANNY (jak wyżej).

— Dalej żwawo do śniadania!
— Kiedyż zrobię te zadania?
— I tak lekcyi moc straszliwa,
Jeszcze tatko ów przybywa!

P. KROŃSKA.

Na to sposób jest gotowy,
Jeśli panny mają głowy!

PANNY (jak wyżej).

.Jaki sposób? — Jaki? — Jaki?
Tyś ze świata, a my żaki!

P. MORSKA.

Mowa była o tym tatku,
Od niechcenia, na ostatku,
Tak, że nie wie o tém Morska:
Może nie wie i Sikorska,

Więc nie wiedzmy wszystkie razem,
Bo się nie wczas z tym rozkazem
Dziś wybrała nasza pani;
Trudnoż cuda robić dla niej!

(Panny milczą chwilę, spoglądając po sobie zdziwione).

P. MORSKA.

Nie wiem, czy to dobra... rada...

P. KROŃSKA.

W takich razach tak wypada!

PANNY (jak wyżej).

— Nie wiem, czy to nam się uda...
— Wszak nie dla niej są te cuda,
Tylko dla nas, byśmy z całej
Téj nauki coś umiały.
— Ej, jak będzie gadu, gadu,
To nie dojdziem późniéj ładu,
Bo dziś lekcyi moc straszliwa,
A godziny wciąż ubywa.

(Panny siadają po kątach z książkami, inne chodzą, a wszystkie uczą się w głos, z czego robi się straszny hałas, z którego tylko wybija się głos p. Krońskiej).

PANNY.

— Ej, z tym tatkiem będzie bieda.
— Trudna rada, jak się nie da,
To za Krońskiej pójdziem radą!

P. KROŃSKA.

Tylko śmiało i gromadą!

(uczy się głośno, kiwając naci książką).

W poprzedzają... cych, cych... cych, cych...
Częściach grama tyki... tyki
Poznaliśmy, śmy śmy śmy śmy,
Jak się tworzą, orzą rzą rzą,
Pojedyncze wyra zy zy,
I jak się od, mienia ją ją
Teraz pozos taje je je,
Nam jesz czece, czece, czece,
Poznać zasa dydy, dydy,
Jak się wyra zów zów, zów,
Pojedyn dyn dyn dyn,anychanych,
Całe zdania, niania, niania,
Składa, jąją, jąją, jąją,
Przez zda niania, niania, bowiem,
Dopie roro, roro, roro,
Myśli nasze, szesze, szesze,
Wyra zię zdolni jes — teśmy!

(cisła książkę).

Umiem! Jak to łązi Morska!
A tak kiwa się Sikorska!

(Naśladuje jedną i drugą, panny śmieją się i klaszczą; słychać dzwonek: robi się krzyk; wchodzi pani Janicka i nastaje milczenie, panny zajmują właściwe miejsca).

SCENA IV.

P. JANICKA.

Słyszę brawa, czy wiwaty,
A więc gotów „Powrót Taty“;
Słucham, wiersz to dziwnie miły...

(Na skinienie pani Janickiej p. Krońska wstaje jak do mówienia, ale milczy; przełożona zdumiona patrzy na nią, potem spogląda po innych pannach mocno zawstydzonych; niektóre, nie wiedząc co czynić kryją twarz w rękach; długie, przykre milczenie, po którym przełożona wzywa jeszcze raz pannę Krońską).

P. JANICKA.

Krońska!

P. KROŃSKA (mocno zmieszana).

My się nie uczylimy...

P. JANICKA.

Nie uczylimy?... Co to znaczy?...

(Spogląda po pannach, które zdaje się że nie mogą znieść jej wzroku, niektóre zaczynają płakać pocichu, panna Krońska chce mówić, ale brak jej odwagi, więc siada desperacko machnąwszy ręką).

P. JANICKA (serdecznie).

Dzieci moje! co to znaczy?

P. MORSKA (z płaczem).

To... to miało być inaczej,
My nie uczyć się zmówiły,
Niby, że to dziś nad siły...
I tak miało być, jak gdyby
Że się nie słyszało niby...
Taka wprzód była zmowa,
Ale potem... zbrakło słowa (siada płacząc).

PANNY (które z widoczną radością słuchały).

Tak tak było!

P. JANICKA.

Bogu chwała,

Że ta zgroza przejść nie chciała
Wam przez usta! Dzieci moje,
O was ja się już nie boję,
Macie prawość w charakterze,
Bo was widzę rade szczerze,
Że ta brzydka, dziwna zmowa,
Nie oblekła się we słowa;
Ale lękam się w istocie
O tę, która was w kłopotcie
Tym stawiała swą namową,
Która pierwsze rzekła słowo!

Nie chcę wiedzieć jej nazwiska,
Bo wejrzawszy w sprawę zblizka,
Wszak i ona się cofnęła,
Nie zwieńczywszy kłamstwem dzieła;
Więc i w nią jest grunt uczciwy,
Wśród zarosłej chwastem niwy,
Niwy serca i sumienia!

Jednak przyjmcie ostrzeżenia:
Bądźcie z nią ostrożne dzieci!

Falsz, to wąż jest pośród kwieci,
Strzeżcie go się, by was kiedy
Nie uplątał w cięższe biedy!
(Słychać dzwonek).
Teraz pójdźmy do ogrodu!
(wychodzi, panny za nią).

SCENA V.

P. KROŃSKA (idąc za niemi i grożąc mówi półgłosem:).

Morska! słodsza ty od miodu
Koleżanko ty wzorowa
Będzie jeszcze o *tem* mowa!

(D. c. n.).

PTAK KRAWIEC.

Ptaki mają dowcip szczególny w budowaniu swoich gniazd, a każdy inaczej się do tego bierze i umie swoje mieszkanie doskonale zastosować do własnych potrzeb i obyczajów. Jeden sadowi się w dziupli drzewa, inny grzebie sobie norę w ziemi lub wydrąży szczelinę w murze, a nawet w twardej skale, którą mocnym dziobkiem rozbija. Najczęściej jednak ptaszki budują się na drzewach.

Uczeni przyrodnicy zapełniają nieraz całe grube księgi opisami budownictwa różnych zwierząt, a zwłaszcza gniazd ptasich. W gorących zwrotnikowych krajach, najpiękniejsze ptaki i najciekawsze gniazda napotkać można. W gabinecie zoologicznym warszawskim, jest bardzo piękny zbiór gniazd najosobliwszych, a czytelnicy nasi, w Warszawie zamieszkali, zapewne gabinet ten dobrze znają i zwiedzają go od czasu do czasu.

Niezmiernie ciekawe jest gniazdo indyjskiej małej ptaszyny, przezwanej krawcem, a nie darmo ptak to nazwisko nosi, krawiec to prawdziwy i niepospolity. Rozpoczynając budowanie gniazda, krawiec wybiera liść duży, ostrym dziobkiem po obu stronach jego przekąsa dziurki, jakby szewc szył. Potem leci i wynajduje mocne włókienko, także zazwyczaj roślinne, często je sam dowcipnie przedzie z surowej bawełny; niteczką tą zeszywa oba brzegi listka tak wybornie, że ma woreczek gotowy i tylko wyszukuje bawełny, mchu mięciutkiego, i wyścieła wewnątrz wygodne łóżeczko. Jeżeli nie może upatrzeć dość wielkiego liścia, zeszywa dwa brzegami.

Rycina nasza przedstawia ptaszki europejskie, blisko z tym krawcem indyjskim spokrewnione, przebywające w krajach południowych, nadśródziemnomorskich. Ptak krawiec sadowi się zwykle w okolicach bagnistych, nad strumieniami, a gniazdko urządza w trzcinach i sitowiach, zupeł-

nie podobnym sposobem jak krewniak jego azyatycki.

Na brzegu każdego liścia przekała dziobkiem dziureczkę, przędzie, skręcając je mocno, niteczki z pajęczyny, albo z roślinnych włókien i zwiążuje zręcznie niezmiernie liście pomiędzy sobą. U góry tworzy rodzaj sklepienia, a wewnątrz wyścieła gniazdko miękkim mchem, różnemi puszystymi włóknami roślin, dodając trochę pajęczyny, aby się to wszystko lepiej trzymało.

Pomiędzy robotą indyjskiego i europejskiego krawca jest ta różnica, że pierwszy, przewleka długą nitkę raz po raz przez wszystkie dziurki, a drugi krótkimi nitkami zwiążuje liście sitowia w wielu miejscach i tym sposobem je łączy, tworząc coś nakszałt koszyczka, z małym otworem, przez który ptak wchodzi do gniazda. Widzicie na rysunku takie gniazdo w całej okazałości a przy niem dwie ptaszyny.

Ptak krawiec europejski ma pióra brunatne, centkowane ciemnym odcieniem, podgardle białe, brzuszki rdzawo-żółtawy. Na głowce parę plamek ciemnych, prawie czarnych i dwie rdzawo-żółte, smugę białą na końcu ogona. Rozpowszechniony jest bardzo w Hiszpanii, we Włoszech, w Grecyi i na wyspach morza Śródziemnego, a także w północnej Afryce, ale i w południowej Azji napotkać go można.

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M. . a.

Wczesną wiosną, nieliczny lecz doskonale uzbrojony poczet rycerski, zatrzymał się w bezludnej na pozór i dzikiej choć żyznej okolicy, na skraju wielkiego boru, w którego ciemnych głębinach znachodziły się kędyś tam i godziły z sobą, prawie bez świadomości ludzkiej, granice Prus, Polski i Litwy. Poczet ów na pierwsze wejrzenie zdawał się składać z Krzyżaków, ktoś jednakże świadomy oznak krzyżackich godności poznałby łatwo, że byli to tylko *knechci* i najpodrzedniejszych stopni *bracia służebni* rycerskiego wielce pod owe czasy rozwielnionego Zakonu, a i dowódzca ich, rycerz olbrzymi, potężny, i w stal wraz z koniem zakuty, o ile na to okoliczności widocznie długiej podróży pozwalały, nie był także wcale zakonnikiem krzyżackim, mimo krzyża na płaszczu, lecz tylko zaszczyconym tak zwanem *współbraterstwem* zakonnem.

Po bliższem rozpatrzeniu się, można też było

dostrzedz, że mocno zbrojna ta gromadka, była w rzeczywistości strażą tylko, tém, co dziś nazywa się konwojem. Kogo? Czy co konwojowano? trudno było odgadnąć, bo dziwnie przedstawiały się kształty, i wozu, i tego, co podróżowało na wozie, otoczonym wielką honorową tej straży troskliwością. Takiego zdania byłby każdy, kto by na owo coś podróżujące spojrział, nic więc dziwnego, że tegoż zdania było kilku ludzi, którzy skryci za pierwszemi boru gąszczami, przypatrywali się ztamtąd pilnie owęj zbrojnej gromadzie przybyszów, stających widocznie dla chwilowego wytechnienia w bezludnej na pozór okolicy.

Owi niewidzialni podpatrujący, byli przecież sami jeszcze dziwniejsi, zwłaszcza w porównaniu z przybyszami. U przybyszów wszystko począwszy od wozu tajemniczego, o pudle w kształcie zbliżonym do kolebki i zawieszonem sztucznie na szerokich pasach, aż do przepysznój, lekkiej wschodniej zbroi dowódcy, wszystko dowodziło daleko już posuniętego dobrobytu i wysoko rozwiniętych potrzeb, gdy tymczasem trzej skryci w gęstwinie krajowcy, wyglądali nieledwie jak wpół dzicy o bardzo pierwotnych nawyknieniach; zdawało się jakby najmniej ze trzy wieki dzieliły od siebie te dwie ludzi gromadki. Dość powiedzieć, że jeden z trzech krajowców miał na sobie rodzaj pancerza, utworzonego z kopyt końskich, ułożonych jakoby w łuskę; a rohatyna jego uzbrojona była ostrą kością. Musiał on być jednakże jakąś znaczniejszą osobą bo miał u boku prócz noża duży miecz, podczas gdy dwaj jego towarzysze odziani byli w skóry zwierzęce, zaledwo jakkolwiek przygotowane do tego użytku i mieli za całą broń noże i topory.

— *Donnerwetter!* ażeby was psy zjadły! ludzie bez sumienia! kiedy ja sobie rady z wami dać nie mogę! — krzyknął nagle ogromnym głosem dowódzca pół-krzyżak, i wszystkie oczy krzykiem tym zwrócił na siebie. Stał on pieszo już przy tajemniczym wozie i krzyknął tak, schylając się z trudem, z powodu zbroi, dla zajrzenia pod wóz, a łamał przytém ręce rozpaczliwie, aż zbroja chrzęszczała. Wszyscy jego podwładni zbiegli się doń na owe krzyki, otoczyli go i zajrzawszy jeden przez drugiego pod wóz, jeli spoglądać to na dowódcę, to na siebie wzajem, ruszając ramionami i głowami, nie rozumiejąc widocznie przyczyny jego gniewu i rozpacz.

— A nuż! a ruszczcie się, a odtoczcicie go! — wołał rycerz, biegając naokoło wyprężonego wozu i klnąc za każdym zdaniem. — Jaktó? nie rozumiecie mię? Czy nie widzicie jeszcze tej kałuży? Postawiliście wóz w kałuży! na wszystkich Świę-

tych! odtoczyć go copędź bo *tamtemu* wilgoć szkodzi, okropnie szkodzi!

Teraz zrozumiano przecież czego rycerz żądał i odtoczono wóz na suche miejsce; czterech braci służebnych, uzbrojonych od stóp do głów, jak do walki z Tatarami, stanęło po czterech stronach wozu jako warta; mieli być za godzinę zlurowani. Tuż naprzeciw postawiono mały namiot, jak najprostszy, pod którym na garści mchu, i z siodłem pod głową leżał rycerz zdrożony, nie spuszczać z oka wozu, przez podniesione namiotu opony. Kilku innych braci służebnych, poustawianych przez rycerza zdaleka naokoło całego obozowiska, stróżowało, a reszta w tegoż obozowiska obrębie rozpalila ogień z zbieranych suchych gałęzi i zabierała się do uwarzenia południowego posiłku, gdy rycerz, zerwawszy się gwałtownie z posłania, przyskoczył do ogniska, krzycząc i mieczem machając.

— Precz! precz! — wołał — precz z tym ogniem, to jest za blisko *niego!* dalej tam rozpalcie! bo *jemu* gorąco szkodzi! — i tak krzycząc, wskazywał znowu na wóz. W jednej chwili przesunięto dalej od wozu ognisko. Rycerz wrócił na swoje posłanie, obejrzawszy troskliwie wóz i zajrzawszy do środka, opiętego skórzanymi oponami. Niezadługo po gorącym posiłku zdrzemnął się rycerz troszeczkę, a jego podwładni, jedni drzemiąc także, inni półgłosem prowadząc gawędę, przepędzali czas południowego wypoczynku. Rozmawiali po niemiecku.

— A co? — mówił jeden młody Niemiec — czy nie na moje wyszło? czy nie *jego* to wieziemy w tym wozie w żelaznej klatce, jak słyszałem, że dawniej takich jak on niespokojnych wicherzycieli wożono na pokaz i przestroję innym? Wszakże sami słyszeliście, jak nasz dowódzca, taki sławetny rycerz, znany na cały świat, pan Konrad von Richartsdorff, powiedział wyraźnie, żeby wóz odtoczyć z wilgotnego miejsca, ponieważ wilgoć szkodzi temu który się w nim znajduje! a co?

— Ej, upieracie się, sami nie wiecie przyczyn — niedbale odparł na wpół drzemający, opasy brat służebny, wyciągnięty przed ogniem. — Właśnie to, co pan von Richartsdorff powiedział, dowieść wam powinno, że w wozie siedzi w klatce nie człowiek wcale, tylko albo psiak jaki, dziwnych cnót, przymiotów i piękności dziwniej, albo sokoł cudny nad wszelki wyraz, jak to nieraz Wielcy Mistrze nasi posyłają w podarunkach królom i panom wielkim na całym świecie. Ja sam już po wiele razy, tak, jak obecnie, strażowałem przy przewożeniu tych kosztownych darów, więc znam się na tém. Jest to nawet główne moje zatrudnienie, w takich sprawach szczególniejsze ja właśnie

Zakonowi naszemu oddaję usługi, i znakomite sobie zdobyłem już u starszyny całej zachowanie. Mogę was zatem wszystkich zapewnić, was, którym pierwszy raz takie stróżowanie przy podróży wozie przypadło, że najprzód nie macie nad czem głowy łamać, bo to u nas zwyczajna rzecz. A potem, jeżeli już koniecznie ciekawi jesteście, co wieziecie i czego pilnujecie, to mogę was zapewnić także, że to nie jest wcale żaden człowiek, bo właśnie z człowiekiem nie potrzebaby takich kłopotów i troskliwości. Toż sami pomyślcie, co człowiekowi mogłaby szkodzić kałuża w pobliżu, albo ognisko o kilka kroków płonące? Cóżby to wam, bracie Hansie, szkodzić naprzykład mogło? Chybabyście ze wszystkiem na twarz w kałużę wpadli i zasnęli tak, toby was woda zalała; albo chybabyście ze wszystkiem w ogień wleźli, toby wam też zaszkodziło, ale inaczej, nie taki to człowiek znowu jest nie na moc robiony, żeby mu lada co zaszkodziło, jak temu, co w wozie tym siedzi. Ale francuzki piesek, to jest dopiero delikatna rzecz! o tém pojęcia nawet nie macie, a ja mam, bo dwa już francuzkie pieski takie w podarunku od Wielkiego Mistrza woziłem. Jednego małżonce polskiego króla, a drugiego duńskiej królowej. Aj, aj! cóż to z tém trudu się użyło przez drogę... ale przecież dowiozło się szczęśliwie i odtąd też poszczycić się mogę dopiero szczególniejszemi naszą starszyny względami, i pewnem w Zakonie znaczeniem.

Wypowiedziawszy z przyciskiem te słowa, okrąglutki ów brat o wielkich zasługach, nadał się jeszcze bardziej i wychyliwszy spory drewniany kubek czegoś, co mu pod ręką na młodej trawie na ziemi stało, rozciągnął się znów jak długi, podłożył ręce pod głowę, sapnął i zasnął. Inni milczeli przez chwilę, leżąc lub siedząc w wygodnych postawach naokoło dogasającego ogniska, mniej potrzebnego po zgotowaniu jedzenia, jakkolwiek ostre wiatru podmuchy dość jeszcze pożądanym i ogień chwilami czyniły. Po długim jednakże milczeniu, gdy i uni tajemniczego wozu strażnicy zapomnieli już może o czém była mowa poprzednio, młody Hans, dotąd w głębokich pogrążony namysłach, potrząsł głową, uparcie i rzekł wpół do siebie mrużąc:

— Nie! co bądźby mi mówiono, ja pewny jestem swego; a może ten śpiący baryła ma rozkaz tajemnicę utrzymać i dla tego wygaduje bajki o psach i sokołach żeby mi głowę zawrócić; a to nic nie pomoże, bo ja swój rozum też mam i wiem, że tam w tym wozie, w żelaznej klatce siedzi *on*...

— Kto taki? — zapytał najbliższy Hansa siedzący, równie jak on młody chłopak. — Słyszę bo ja ciągle waszą gadaninę i dopytywania próżne u brata Wolfganga, ale na prawdę nie rozumiem,

o co wam chodzi? Widzę tylko że brat Wolfgang tak mówi, jakby prawdy powiedzieć nie chciał: kręci on coś, kręci! nie wiercie mu!

Hans żywo podniósł głowę na te słowa towarzysza, na którego nie zważał podobno, wymawiając poprzednie wyrazy, spojrzał mu w oczy, w których rozbudzoną ciekawość widać było, obejrzał się na resztę drzemiących zbrojnych, obrzucił spojrzeniem cały obóz na polance i śpiącego w niewielkiej odległości rycerza Konrada von Richartsdorffa, a zatrzymawszy wzrok na tajemniczym wozie milczał przez chwilę wdychając... Potem z wolna zwrócił się do pytającego młodzieńca, przysunął doń bliżej kładąc się wygodniej na trawę i rzekł przyciszonym głosem, powoli wymawiając wyrazy, jakby się nad nimi namyslał:

— Zdajecie się pocziwym chłopakiem Walterze... cobyście też czuli, powiedzcie, gdyby... gdyby na przykład... kazano wam strażować przy klatce, w którejby zamknięty był... no... no, wasz ojciec na przykład!

— Co! wymordowałbym wszystkich i ojca wyzwolił! — krzyknął Walter z nadzwyczajnym zdziwieniem i oburzeniem tak głośno, i zerwał się jakby gotów do ojca obrony, z ręką na mieczu na równe nogi, tak gwałtownie, że kilku bliższych zbrojnych, nagle tym hałasem ze snu zbudzonych, zerwało się z okrzykiem, który powtórzyły wnet czaty i sam dowódzca pan Konrad von Richartsdorff.

W mgnieniu oka cały mały oddział był gotów do walki w przekonaniu że napadnięty został. Przez kogo? W jaki sposób? oto pytania jakie wzajem zadawali sobie wszyscy, od wodza począwszy, a na które bardzo naturalnie, nikt odpowiedzieć nie umiał bo dwaj młodzi knechci, Hans i Walter, którzy sami jedni tylko mogliby byli wyjaśnić owego alarmu przyczynę, zaspali właśnie tak mocno, że aż ich towarzysze rozbudzić do mniemaną walki musieli. Wtedy dopiero wstali obaj, przecierając oczy zaspane. Rozumie się że mocny ten sen był udany. Wódz surowy ukarałby z pewnością ciężko sprawcę niepotrzebnego rozruchu, wywołanego najniwniej, to też Hans zrozumiałwszy od pierwszej chwili popłochu, od razu jego doniosłość, a sam leżąc jeszcze na trawie, pociągnął zrywającego się Waltera tak gwałtownie ku sobie, że nieprzygotowany na to szarpnięcie młody Niemiec, padł jak długi na dawne swe miejsce na trawę koło Hansa.

— Jeśli ci życie miłe, udawajmy śpiących — szepnął Hans doświadczeńszy. — Ten krzykacz Richartsdorff nie przepuści nam popłochu tego, jeżeli się domyśli, kto go sprawił...

Udawali więc śpiących; Walterowi nawet śmiać

się trochę chciało z tego, co mimowoli wypłatał, słysząc i widząc przez zmrużone powieki straszny ogólny popłoch, gwałt, a nadewszystko szalony przestach Richardorffa. Przestach odnoszący się do bezpieczeństwa tajemniczego wozu powierzonego jego pieczy. Czując jednakże, iż przy strasliwym hałasie powstałym naokoło, nie można długo śpiących udawać, dwaj przyjaciele dali się cople dźej towarzyszom przebudzić i jak mogli najlepiej naśladowali następnie niepokój i rozruch ogólny.

Richartsdorff widocznie przekonany że wóz jest celem napadu, otoczył go silnym zastępem bojowników, na czele którego w pierwszej chwili sam stanął, zamierzając własną piersią wóz osłaniać, wydawał przytęm głośnie i stanowcze wojenne rozkazy dwom swym podwładnym, którzy wedle tych rozkazów rozporządzali resztą siły zbrojnej na około w pewnej od wozu odległości.

Kiedy mówimy o popłochu, nie ma to przecież znaczyć aby w istocie w zbrojnej tej ludzi gromadce zapanował popłoch bezradny, gdyż była ona na to zanadto dobrze uzbrojona, zanadto czujna i umiejętnie kierowana; wysyłając w ważnej wyprawie rycerza von Richartsdorff, krzyżacy wiedzieli komu i dla czego ufali. To też w jednej chwili wszystko stanęło w szyku bojowym obronnym, właściwszym do okoliczności i okazało się jawnie, iż rycerz dowódzca był na podobne wypadki z góry przygotowanym, a właściwą przyczyną chwilowego zamieszania było to właśnie, że ta przyczyna naprawdę nie istniała. Bo gdyby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo przyszło z zewnątrz małego obozowiska, tak, jak jedynie przyjść prawdziwie mogło, to doskonale ustawione i wyuczone straże, byłyby o tem z pewnością wczas obóz zawiadomiły. Ponieważ nie uczyniły tego, tedy widocznie źródło popłochu było w samej wewnątrz obozowiska.

Takie właśnie uwagi robił sam sobie w myśli rycerz von Richartsdorff, stojąc z mieczem w ręce przed wozem, na czele otaczającego ten wóz wboru zbrojnych, a oczyma śledząc poruszenia swych podwładnych. Jeden z nich stał także nieporuszony na czele swoich ludzi, rozstawionych obszerniejszym wieńcem naokoło głównej gromadki bojowników przy wozie, a drugi ze swoimi szybko obiegał znów tamtych, trzecie niby koło w tym zakreślając obiegu.

Tak biegnąc chyżo i w największym porządku, ci ostatni zbrojni zakreślali koło to coraz większe, coraz dalej, a zawsze naokół polanki, zapuszczając się w leśne zarośla niezbyt gęste na brzegu. Trudno byłoby i zającowi ująć niepostrzeżenie przed tą chrzęszczącą od zbroi i broni burzą, przelatującą przez jego dziedzinę.

To też nie udało się bezkarnie uciec i trzem dziwnym jakimś a sporym stworzeniom, które zaczajone gdzieś na brzegu zarośli, uciec z nich w głąb lasu próbowały. Z tych dwa otrzymawszy kilka cięć mieczów i kilka strzałów ku sobie skierowanych, niezbyt szkodliwych, zapewne z powodu niedoskonałości broni ówczesnej, uszły przecież,

nym południowym spoczynku, stawiono owo więte w niewolę stworzenie przed dowódcą.

Rycerz von Richartsdorff siedział już na swym wielkim koniu, w ręce trzymał goły wielki niemiecki miecz i mimo woli własnej, z poczucia obowiązku, zasłaniał osobą swą wóz zaprzężony go-tów do drogi i już otoczony zbrojnymi. Z groźnie



P t a k k r a w i e c (str. 373).

dzięki coraz gęstszemu, im dalej w las zarośłom, brocząc je krwią... Trzecie schwytano i zabezpieczono troskliwie. Dopiero przepatrzywszy okolicę i zapewniwszy się, że niema natychmiastowego niebezpieczeństwa, gdy zbrojny oddział zgromadzony na łączce gotował się już w największym porządku do dalszej podróży, po tak zmarnowa-

zmarszczoném licem z pod wzniesionej przyłbicy spojrział on na stawione przed nim stworzenie. Było ono widocznie ludzką istotą, ale tak zarośłą; i w skóry zwierzęce jak gdyby obszytą za pomocą łyka, że na pierwszy rzut oka można się było co do człowieczeństwa jego pomylić. To też stary, gruby bywalec Wolfgang, wąpił długo, dłużej

niż inni o jakości tego stworzenia, dopiero, gdy pętając je więzami które się w zwierzęce kudły wrzynały, napotkał pod ręką wielki ostry nóż, Wolfgang podrapał się po czole, namysławiając, a potem palec wskazujący opierając na tym nożu, ukrytym w kudłach na piersi niewolnika, rzekł:

— To jest człowiek!

Tyle wiadano na pewno, ale próżno chciano się czegoś więcej od niewolnika dowiedzieć. W zbrojnej gromadce krzyżackiej znajdowali się ludzie różnych narodowości, wszyscy po kolei z wodza rozkazu próbowali wydobyć choć słowo jedno jakiegokolwiek, w jakimkolwiek języku, z ust niewolnika, ale ten milczał jak niemy. Patrzano nań z wielkim podziwem i po namyśle osądzono że to był dziki leśny człowiek, to jest, coś podobnego do małp, o których niektórzy bywalcy zaczęli sobie w dalszej podróży dziwy przeróżne opowiadać.

Co do samego niewolnika ujętego z bronią, to jest z nożem w ręce i widocznie podpatrującego podróźnych, w nieprzyjacielskich niechybnie zamiarach, z tym, aby nigdy szkodliwym być nie mógł załatwiono się krótko... wedle ówczesnych wojennych a zwłaszcza krzyżackich zwyczajów.

Krzyżacki poczet pojechał dalej, zbrojno, czujnie i ostróżnie, kierując się tak, aby w jak najkrótszym czasie przebyć część boru, którą koniecznie przebyć wypadło, a postępując krokiem pewnym, lecz niezbyt śpiesznym, zwyczajnie jak się to czyni mając jeszcze przed sobą drogę daleką. Wódz namurmurzony bardziej niż kiedykolwiek, jechał jak zawsze tuż przy wozie, obrzucając go często pełnym troski spojrzeniem, milczący dziwnie, pogrążony był w myślach głębokich.

W istocie, niewytłómaczony ów popłoch w czasie południowego wytchnienia napędził strasznych obaw rycerzowi von Richartsdorff, a to tembardziej, że bystrego jego oka nie uszedł trochę za mocny sen dwóch młodych knechtów, Waltera i Hansa. Jakimś zmysłem właściwym sobie, a może właściwym wszystkim dowódcom, poczuł on odrazu, że około tych dwóch ludzi uplatała się przyczyna wypadku na łące, ale zbytek przezorności i troskliwa podejrzliwość rycerza, zaprowadziły go w domysłach i przypuszczeniach za daleko. A wątek do tych zadalekich domysłów podał mu trzy owe ludzkie istoty, które wytropiono w zaroślach.

Wyprawa, której rycerz przewodniczył była dla niego tak niesłychanie ważną, że troska o jej szczęśliwe doprowadzenie do końca, prawie rozum mu odbierała. Zdawało mu się, że cały świat czycha na ów wóz, którego szczęśliwe doprowadzenie na miejsce przeznaczenia było dla niego warunkiem spełnienia wszystkich marzeń, ży-

czeń i celów; stanowiło o jego przyszłości, o jego zbawieniu nieledwie wedle przesadnie rycerskich wyobrażeń owoczesnych. To też podejrzewając wszędzie nieprzyjaciół i przeszkody, nic dziwnego, że dopatrzył związku pomiędzy zamocnym snem dwóch młodych knechtów i podpatrywaniem przez trzech dzikich ludzi jego koczowiska na łączce w lesie.

Rycerz dowódzca uprzął sobie w myśli ani mniej ani więcej, jak tylko zupełną zmwę pomiędzy dwoma swoimi zbrojnymi i kimś, kto miał go napaść i wóz przez niego prowadzony zabrawszy, miał rycerza von Richartsdorff całej jego wielkiej przyszłości pozbawić. Jadąc i baczne spojrzenia naokoło rzucając, z ręką na mieczu, rycerz właśnie głęboko rozmyślał, ktoby też mógł mieć własny swój szczególny interes w pozbawieniu go zaszczytnych rycerskich korzyści i w przywłaszczeniu ich sobie?... Oczywiście mógł to być tylko rycerz także, bo cel był czysto rycerski, a owi trzej dzicy byli w przekonaniu wodza tylko bezmyślnymi narzędziami, użytymi przez jego nieprzyjaciela do podpatrzenia. Rycerzy takich kilku właśnie niedawno zawistnie spoglądało nań na ostatniej uczcie u Wielkiego Mistrza krzyżackiego, gdy tenże powierzał Konradowi von Richartsdorff posłannictwo, które ostatni spełniał obecnie.

Ale po chwili namysłu uznał wódz wyprawy, że honor rycerski nie pozwoliłby owym rycerzom na nieszlachetne względem niego podstępny, gdy wtém wpadł mu z nienacka w ucho przydomek *Łokieć*, wymówiony półgłosem przez Hansa do Wolfganga, jadącego w pobliżu, i wyraz ten odrazu rozświecił rycerzowi ciemne jego domysły: Nikt tylko Łokieć czychał na tajemniczy wóz! Łokieć był w zmwie z dwoma knechtami. Łokieć próbował już raz zaskoczyć niespodzianie poczet krzyżacki na łączce w lesie i Łokieć niechybnie krąży bezustannie na około w pobliżu. Bo Łokieć, czyli Łoktek, wgardliwie tak dla małego wzrostu, przezwany, było to jedno z licznie rozrodzonych polskich książątek, a mianowicie Władysław, książę kujawski, o którym świeżo się rycerz von Richartsdorff przeróżnych opowiadań nasłuchiwał przy tejże powyższej wspomnianej uczcie u Wielkiego Mistrza krzyżackiego.

Wiedział więc rycerz z tych krzyżackich, stronnych rozumie się opowieści, że ów Łokieć, wielki wichrzyciel, wichrzy ciągle w całej Polsce, walcząc ze wszystkimi swymi krewnymi książętami, aby ich wszystkich z udziałów ich książęcych wypędzić i dla się je zagrabiwszy, królem całej Polski się ogłosić. Sam Wielki Mistrz opowiadał w tajemnicy oczywiście, co nawiasem mówiąc było zmyśleniem, że w owym to celu ów Łokieć starał

się wielce pomoc krzyżacką sobie wyjednać, którój to pomocy, wedle zapewnień Wielkiego Mistrza, Łokciowi odmówiono, ponieważ świątobliwy zakon krzyżacki miałby sobie za grzech ciężki pomagać do niesprawiedliwości, jaką byłoby wypędzanie prawych dziedziców z ich udziałów.

Dowiedział się też rycerz, że ów Łokieć zawichrzywszy Bóg wie po który raz nieszczęśliwą Polskę, i już ogłosiwszy się nawet królem w zdobytym gwałtem Krakowie, został zeń wygnany przez Szlązaków, krewnych swych, których Krakowianie na pomoc przeciw niemu wezwali; że ledwo zdoławszy ujsć do klasztoru Franciszkanów przed zwycięzcami, następnie skrycie snadź z tego klasztoru uciekłszy i jeszcze tu i owdzie powichrzywszy przecież gdzieś przepadł... Gdzieby obecnie był? nikt nie wiedział.

Tyle o owym Łokciu wichrzycielu wiedząc, i wszystkiemu temu wierząc, co krzyżacki Mistrz dla widoków swoich umyślnie przekręcał, rycerz von Richartsdorff niespodzianie znów teraz nazwę Łokcia z ust podejrzanych mu chłopaków zasłyszawszy, odrazu wpadł na myśl, że Łokieć, szalała ten, nic ważniejszego nie miał do czynienia, jak zaczaiwszy się nań, napaść go, wóz wraz z jego zawartością pochwyć i spełniwszy to co rycerz miał spełnić, wkraść się tą przysługą w łaski Wielkiego Mistrza i całego zakonu krzyżackiego. Ponieważ łaska zakonu mogła dopomódz Łokciowi w zdobyciu polskiej korony, tedy w przekonaniu rycerza miał ów Łokieć dostatecznie ważny cel w przywłaszczeniu sobie zasług, jakie rycerz sam miał także zamiar położyć, przeprowadzając drogocenny powóz przez kraj dzikich pogan niezliczonemi najeżony niebezpieczeństw.

(D. c. n.).

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

XXVIII.

Szalona gonitwa Henryka.

Antylopy z szybkością wichru mknęły po błoni, a Henryk gonił je szalonym pędem, poprzedzony przez dzielną parę ogarów. Chociaż wierzchowiec jego prawdziwych cudów dokazywał, odległość pomiędzy jeźdźcem i antylopami nie zmniejszała się wcale, a i psy nie mogły ani ich dopędzić, ani zbić z drogi, lub podstępem w pole wyprowadzić. Antylopy pstrokate mają zwyczaj

biedz prosto przed siebie, nie zważając na nic, a myśliwy, goniąc je, nie może liczyć na żadne wybiegi, tylko na szybkość konia.

Nareszcie jeden z dwóch psów zmęczył się tak, że nie mógł biedz dalej i pozostał w tyle, ulubiony ogar Henryka nie chciał odstąpić swojego pana i czas jakiś podążał za nim, lecz i on wreszcie ustał, a młody jeździec sam jeden uparcie gonił za stadem antylop.

Henryk ujechał tak pewnie z dziesięć mil angielskich *), koń jego cały był potem okryty, pianą ściekała mu z pyska i białała na szyi, antylopy biegły ciągle, a jednak młodzieniec spostrzegł, że już i one zaczynały trochę ustawać. Gdyby miał teraz pod ręką świeżego konia, dogoniłby je niezawodnie, kto wie, czy nawet dzielny karosz, pomimo znużenia, nie dokonałby tego na innym gruncie, ale na nieszczęście cała łąka w tém miejscu pokryta była budowlami termitów i jamkami, grzebanemi przez mrówkojady. Koń jego potknął się parę razy, a antylopy tymczasem znowu go znacznie ubiegły.

A jednak pomimo tylu trudności, młodzieniec nie chciał odstąpić od przedsięwzięcia; stały mu ciągle na myśli szyderstwa, któreby go przywitały w obozie, gdyby z niczém powrócił, widział w wyobraźni tryumfującą minę Williama i pędził dalej, pobudzając konia głosem i ostrogą. Cóżby to była za chwała, gdyby się ukazał przed oczyma towarzyszy, trzymając w ręku rogi pięknej pstrokatę antylopy!

Ale niestety! nasz młody myśliwy coraz mniej miał nadziei, żeby mu się ta sztuka udała. Antylopy zawsze były jeszcze daleko, a biedny jego wierzchowiec coraz ciężej robił bokami i sapał, jak miech kowalski; żał mu się zrobiło biednego zwierzęcia. Lecz w chwili, gdy już miał ściągnąć uzdę, dostrzegł wprost przed sobą pasmo wzgórz, które przecinały równinę po samęj drodze, i układały się w kształcie trójkąta rozwartego, tworząc tym sposobem coś nakszałt zasadzki dla stada antylop. Gdyby mu się udało zapędzić je aż tam, możeby mu łatwiej było strzelić do którój z krzaka, nimby się opamiętały i zmieniły drogę.

Tak rozmyślając, Henryk bystrym okiem przebiegł cały widnokrąg i przekonał się z wielką radością, że równina w tém miejscu z trzech stron opasana była wysokimi, stromemi skałami, których antylopy z pewnością przeskoczyć nie mogły, musiały więc wpaść w pułapkę, jakby umyślnie dla nich urządzoną. Natrafiwszy na taką zaporę, nic im nie pozostawało, tylko zawrócić z drogi, a wśród tego zamieszania, niepodobna, ażeby któ-

*) Mila angielska mało co większa jest od wiorsty.

ra nie nawinęła się bliżej i nie natrafiła na kulkę naszego strzelca, trzymaną w pogotowiu.

Na ten widok, nadzieja w nim odżyła, przybyło mu sił nowych, a pogłaskawszy wiernego karo-sza, pogonił dalej. Teraz był już blizkim celu, przestrzeń dzieląca go od antylop nie wynosiła więcej nad trzysta kroków, a pasmo gór rozciągało się o jakie paręset metrów dalej. Stado pędziło ciągle w tym samym prostym kierunku, nie zdając się zważać na zaporę, która mu drogę tamowała.

Henryk był prawie pewny powodzenia; parę chwil jeszcze, a wszystko się rozstrzygnie, antylopy przystaną, albo się zwrócą, inaczej być przecież nie mogło. Czas już było broń przygotować, myśliwy nasz umiał w najszybszym pędzie nabić strzelbę, wyjął więc z ładownicy nabój stosowny, opatrzył cyngiel, ażeby w ostatniej chwili wszystko mieć w pogotowiu, potem podniósł znowu wzrok, szukając antylop przed sobą... lecz jakież było zdumienie jego, gdy ich nie spostrzegł wcale. Stado całe znikło, jak gdyby się ulotniło w powietrzu.

W pierwszej chwili nie mógł pojąć, co się stało. Antylopy nie mogły przecież takich gór przeskoczyć, zresztą w takim razie byłby to dostrzegł, taka przeprawa musiałaby potrwać dłużej. Henryk zatrzymał konia, opuścił strzelbę i z nosem spuszczone na kwintę, spoglądał na wzgórza, w których przed chwilą tak świetne pokładał nadzieje. Gdyby był zabobonnym, byłby w tém szczególném zjawisku podejrywał jakąś czarodziejską sztukę, ale za wiele miał rozsądku, aby wierzył w podobne rzeczy, zaczął więc szukać przyczyny rzeczywistej tego dziwnego zniknięcia antylop.

Wykrył ją wkrótce, zbliżając się bez zbyteńnego pośpiechu do skalistej ściany, która przecinała drogę, rozwiązał zagadkę odrazu. Dwie wielkie skały, które zdaleka zdawały się przytykać do siebie, w rzeczywistości wznosiły się równolegle jedna przed drugą, a pomiędzy niemi przejście dość szerokie, prowadziło na inną rozległą równinę rozciągającą się po drugiej stronie gór. Oczywiście antylopy tedy się przemknęły, przejście to musiało im być dobrze znane, inaczej roztropne zwierzęta nie zapuściłyby się pewnie w tę stronę.

Henryk zsiadł z konia, przeszedł także pomiędzy skałami na ową drugą równinę i złożyć go porwała okropna gdy ujrzał w oddaleniu piękne antylopy, pasące się najspokojniej na łące, jak gdyby sobie z niego żartowały. Nie widząc już na to żadnej rady, młody myśliwy puścił konia na paszę, a sam usiadł na odłamie skały i rozmyślał nad tém, co dalej czynić wypadało.

XXIX.

Groźny nieprzyjaciel.

Łatwo sobie wyobrazić, jak nieprzyjemne myśli snuły się po głowie naszego Henryka. Biedak był rozdrażniony i upokorzony do najwyższego stopnia. Wolałby był nigdy w życiu nie widzieć tych nieznośnych, obrzydłych antylop pstrokatych. Jak tu teraz pokazać się w obozie? Sam nieraz wyśmiewał się z towarzyszy, teraz na nich przyszła kolej, mógł być pewny, że mu odpłacą z okładem, William szczególnie, który miał własne niepowodzenie na sercu. Oj ten grubas! powtarzał sobie w myśli nasz zawstydzony myśliwy, da on mi się teraz dobrze we znaki! Widok konia zdyszanego, sapiącego, nie mógł go także pocieszyć. Biedne zwierzę tak wyglądało, że Henryk zaczynał wątpić czy będzie w stanie donieść go na powrót do obozu; oby przynajmniej samo się dowlokło. Wartoż to było podpalić konia i z niczém powracać.

Młodzieniec zaprzątnięty był temi smutnemi myślami, gdy nagle wyrwał go z zadumy dziwny odgłos, który go tak przeraził, że zerwał się na równe nogi, a i koń jego widocznie doznał także podobnego wrażenia. Pomimo zmęczenia, wstrząsł się cały, nastroszył uszy podniósł łeb do góry, zarżał przeraźliwie, zerwał się z miejsca gwałtownie, galopem przebiegł wązkie przejście pomiędzy skałami i znikł w jednej chwili z oczu Henryka.

Ale ten nie myślał gonić za nim, wzrok jego zwrócony był w inną stronę, zkąd zbliżał się szybko zwierzę straszliwe, którego głos odezwał się przed chwilą. Nasz myśliwy znał dobrze to szczególne chrząkanie i sapanie, wcale się też nie zdziwił, ujrawszy przed sobą czarnego nosorożca, który się wysunął z za skały i szybko dalej podążał.

Henryk ochłonął tymczasem z pierwszego przerażenia. Nie pierwszy to raz miał do czynienia z nosorożcem, zawsze dotychczas obronną ręką wychodził z tego spotkania, jeżeli nie pokonał potężnego zwierza, to przynajmniej z łatwością uchodził przed jego napaścią.

Ale młody myśliwy zapomniał o tém w tej chwili, że nigdy w takim razie nie stawiał czoła straszliwemu nieprzyjacielowi pieszemu, niedziw, że siedząc na dzielnym rumaku nie obawiał się pogoni ocieźnającego nosorożca. Teraz postać rzeczy była całkiem odmienna, koń go opuścił, sam jeden stał na odkrytém miejscu, kilkadziesiąt kroków dzieliło go zaledwie od potwora, który go mógł zmiażdżyć w jedném mgnieniu oka. Zrozumiał też wkrótce nasz Henryk, że życie jego było w największém niebezpieczeństwie.

Przyszło mu na myśl, ażeby się schronić na

wierzchołek skały, ale boki tych ścian kamiennych, które sterczały tuż przy nim, tak były strome, że kot tylko potrafiłby się na nie wdrapać. Nigdzie w nich także nie widać było żadnej szczeliny, w którejby się ukryć było można, Rosło wprawdzie w pobliżu kilka drzew, lecz pnie ich wątle nie przedstawiały żadnego bezpieczeństwa, nosorożec byłby za jednym zamachem przełamał każde i obalił.

O ucieczce nie było co myśleć. Henryk wiedział dobrze, iż nosorożec nie da się wyprzedzić człowiekowi, choćby najzwinniejszemu. Na domiar nieszczęścia, młodzieniec zostawił strzelbę uwiązaną do siodła i koń ją uniósł z sobą. Za całą broń miał przy sobie nóż myśliwski; ale czyż takim nożem zdołałby przebić skórę nosorożca? Na jednoby wyszło, gdyby się ze szpilką na niego porwał.

Nieszczęśliwy Henryk pocieszał się tylko nadzieją, że straszny zwierz go nie dojrzy, lub nie zwróci na niego uwagi. Zmysł wzroku słabo jest rozwinięty u nosorożca; oczy jego są małe i chociaż dostrzega przedmioty, znajdujące się wprost przed nim, nie widzi nic prawie po bokach, a ponieważ trudno mu poruszać ogromnym karkiem i szyją, więc pole widzenia jego jest bardzo ograniczone.

Mógł więc Henryk przypuszczać, że mu się uda uniknąć wzroku drapieżnego zwierza; według wszelkiego prawdopodobieństwa dotąd przynajmniej nie był jeszcze widziany, bo nosorożec nie ociągałby się tak długo z napaścią. Jest on tak drapieżny i złośliwy, że rzuca się na istoty najspokojniejsze, które mu w niczem nie przeszkadzają, jeśli je tylko spotka na swojej drodze. Henryk, chcąc o ile możliwości uniknąć tego spotkania, cofnął się ostrożnie o kilka kroków i stanął przytulony do skały.

Ale jeśli nosorożec nie odznacza się bystrym wzrokiem, za to węch i słuch ma doskonały. Zwietrzy on nawet drobną myszkę zdaleka, słyszy najłżejszy szelest, szmer liści, kroki człowieka i tym sposobem natrafia z łatwością na ślad swjej ofiary. Gdyby nosorożec czarny miał wzrok tak dobry, jak węch i słuch, byłby straszniejszym od wszystkich zwierząt drapieżnych. Jest on w każdym razie groźnym przeciwnikiem dla człowieka, a krajowcy afrykańscy obawiają go się jak ognia.

Węchem też zapewne nosorożec wysledził w końcu obecność młodego myśliwego, gdyż na nieszczęście kierunek wiatru mu w tém właśnie sprzyjał i małe jego oczki zwróciły się w stronę, gdzie Henryk stał przytulony do skały. Zmierzywszy wzrokiem zuchwalca, zwierz mruknął groźnie, nastroszył uszy i wywinął małym ogonkiem, uderzając nim raz po raz o potężne boki, potem

poskoczył do Henryka z taką wściekłością, jak gdyby miał do czynienia z największym swoim wrogiem.

Myśliwy nasz potrzebował wielkiego zasobu zimnej krwi i rozwagi, ażeby się ratować przed tą straszną napaścią; nie stracił jednak głowy i w chwili, gdy nosorożec miał się już rzucić na niego z gwałtownością okropną, on zręcznie odskoczył w bok i uniknął niehybnej śmierci; gdyby się był spóźnił o jedno mgnienie oka, róg drapieżnego zwierza byłby mu pierś przeszył, jak sztylblem.

Na szczęście Henryk wiedział dobrze, że ucieczka na niczy mu się nie przydała, nie myślał więc próbować tego rozpaczliwego środka ratunku, ale odskoczywszy, stanął naprzeciw groźnego przeciwnika, nie poruszając się z miejsca. Nosorożec podskoczył znowu i biegł prosto na niego. Henryk czekał odważnie aż do ostatniej chwili, a gdy róg straszliwy zagroził mu już zblizka, znowu z zadziwiającą przytomnością umysłu skoczył w bok i stanął o kilka kroków dalej.

Zwierz musiał się znów odwrócić i toż samo powtórzyło się kilkakrotnie. Nie był to własny pomysł Henryka, młodzieniec słyszał nieraz od doświadczonych myśliwych, że tym sposobem jedynie można się bronić przed napaścią nosorożca, pamiętał też o warunku niezbędnym aby odskakiwać w ostatniej chwili i nie inaczej tylko w bok, gdyż zwierz, mający pole widzenia bardzo ograniczone, musi wówczas na nowo szukać wzrokiem swjej ofiary, zyskuje się więc na czasie. Nie mała to jest korzyść, nosorożec, pomimo niezgrabnych i ociężałych swych kształtów, zwinniejszy jest daleko, niżby się z pozoru zdawało, widzieliśmy, iż koń w największym pędzie zaledwie umknąć przed nim zdoła.

Henryk zaprowadził nosorożca w wązkie przejście pomiędzy skałami, oddzielające dwie równiny i nie przestawał umykać przed nim zręcznie, w końcu jednak zwierz zrozumiał taktykę przeciwnika i zamiast szukać go przez czas jakiś przed sobą, natychmiast po zniknięciu młodzieńca odwracał się w tył i pędził go odkrywał. Straszna to była walka; niebezpieczeństwo wzmagalo się co chwila, czuł młody myśliwy, że przypadek nieprzewidziany, potknięcie się, zawrót głowy, mógł go o śmierć przyprowadzić w mgnieniu oka.

Odwaga zaczynała go opuszczać, był znużony, zdyszany, nogi się pod nim uginały; rozpaczliwa ta obrona nie mogła potrwać długo, a nie zanosilo się na to, aby nosorożec zaniechał napaści; dla niego ta pogoń była zabawką, lecz niepowodzenie drażniło go i pobudzało do większej zawziętości.

Nieszczęśliwy młodzieniec stracił już prawie

wszelką nadzieję ocalenia, smutne obrazy przesuwają się przed jego wyobraźnią; rozpacz rodziców, braci, sióstr, gdy towarzysze powrócą do domu bez niego, gdy opowiadać będą, że zginął bez wieści, bo któż odgadnie, co się z nim stało, któż odszuka kości jego rozsypane wśród dzikiej puszczy... Wtém nagle okrzyk radości wyrwał się z jego piersi i straszne myśli pierzchły odrazu gdyż ujrzał przed sobą deskę zbawienia.

Strasliwa ta gonitwa trwała już od kwadransa, młody myśliwy zapuścił się w głąb ciasnego przejścia pomiędzy wysokimi skałami, gdy podnosząc oczy przypadkiem, spostrzegł nad sobą skałę wystającą w taki sposób, że tworzyła rodzaj tarasu zawieszonego wysoko, o parę metrów nad ziemią. Poniżej musiała być głębsza jakaś szczelina w skale, może nawet jaskinia podziemna. Taki to widok wywołał ów okrzyk radosny. Henryk nie wiele myśląc uczeplił się krawędzi skały i ze zręcznością kota wspinał się aż na wierzchołek tarasu, gdzie znalazł bezpieczne schronienie.

Usadowiwszy się wygodnie, młody myśliwy mógł już bez obawy spojrzeć z góry na drapieżne zwierzę, które w gniewie bezsilnym rzucało się pod jego stopami.

XXX.

O b l ę z e n i e .

Henryk odetchnął głęboko, ujrawszy się bezpiecznym; nie było najmniejszej obawy, ażeby nosorożec mógł go tu dosięgnąć. Niegodziwy zwierz podnosił pysk, wspinał się na tylne nogi, sapał ze złości, ale wszystko na próżno. Młody nasz myśliwy czuł się tak pewnym siebie w niezdożytą swą twierdzą, że zsunął się na sam brzeg skały, spuścił nogę i kopnął podkutym obcasem nosorożca w pysk zadarty. Zwierz cofnął się, rycząc z wściekłości, przestał się piąć na skałę ale kręcił się na jednym miejscu, nie odchodząc, widocznie postanowił sobie trzymać nieprzyjaciela w obłężeniu.

Henryk mógł mu się teraz dobrze przypatrzeć; spostrzegł, że to był nosorożec odmiennego gatunku od wszystkich, jakie widział przedtém. Wiedział z opowiadań Hansa, że w Afryce żyje cztery gatunki nosorożców dobrze znanych w tej części lądu, która się rozciąga od zwrotnika koziorożca do przylądka Dobrej Nadziei. Z tych dwa odznacza się skórą jaśniejszą, a dwa prawie czarną. Jaśniejsze nosorożce zwane są przez krajowców *kobaoba* i *muszoszo*, czarne zaś *borele* i *keitloa*.

Pierwsze są nieco większe od czarnych, ale usposobienie mają łagodniejsze; żywią się głównie trawą, czarne zaś obgryzają zwykle pąki i liście

krzaków i młodych drzewek. Oba gatunki jaśniejsze mają jeden róg, a właściwie tylko róg przedni, rozwija się należycie, dochodzi niekiedy dziesięciu centymetrów długości i więcej, drugi zaś wygląda jak nieznaczną narość.

Czarny nosorożec *borele* ma także róg przedni długi, chociaż krótszy znacznie, niż u obu gatunków jaśniejszych, drugi zaś mało rozwinięty. Henryk widział go już nieraz, gdyż ten gatunek dosyć jest pospolity w bliskości osad południowych. Nosorożec, którego teraz miał przed oczyma, zupełnie inaczej wyglądał, łatwo więc było odgadnąć, że to był tak zwany *keitloa*.

Oba jego rogi były prawie jednakowe nie mogły mieć więcej nad trzydzieści do czterdziestu centymetrów długości. Szyję miał dłuższą i pysk więcej wydłużony niż u wszystkich innych nosorożców. Henryk słyszał nieraz od myśliwych, że *keitloa* jest nadzwyczaj drapieżny, a w okolicach gdzie się częściej pojawia, krajowcy obawiają go się więcej od innych drapieżnych zwierząt, nie wyłączając lwa i lamparta.

Młodzieniec nie dziwił się teraz, że ten nieprzyjaciel napadł go z taką wściekłością i winszował sobie w duszy szczęśliwego zakończenia swojej przygody. Zdawało mu się, że siedzi w loży jakiegoś cyrku i przygląda się z zajęciem osobiwemu widowisku.

— Cóżby dał za to Hans — mówił sam do siebie — gdyby mógł tu zasiąść na mojem miejscu i przypatrzeć się do woli temu obrzydłemu zwierzęciu.

W tej samej chwili, jakby odpowiadając na tę myśl młodzieńca, nosorożec przedstawił mu w całej okazałości dziwaczne obyczaje, właściwe swemu rodowi. Wprost naprzeciw skały, na której siedział nasz myśliwy, rósł krzak dość wielki i rozgałęziony; na nim też nosorożec złożył swoją spędzil. Rzucił się na krzak z głową pochyloną, uderzając weń z całej siły, jakby w przystępie szaleństwa, połamiał gałęzie silnymi rogami, potem je zgniótł kopytami, a wszystko to z taką wściekłością, jak gdyby miał do czynienia z nieprzyjacielem. Nie zaprzestał tej śmiesznej napaści, aż póki nie zrównał z ziemią całego krzaku, nie zmiażdżył wszystkich gałęzi, nie poobdzierał kory i nie porozsypywał liści na cztery wiatry.

Widowisko to było tak zabawne, że Henryk nie mógł się powstrzymać od głośniego śmiechu. Ta nedorzeczna walka przypominała mu zapasy Donkiszota z wiatrakami. Ale wejrzenie, które w tej samej chwili rzucił na niego nosorożec, powstrzymało te wybuchy wesołości; spostrzegł bowiem, że ma do czynienia z wrogiem nieprzejednanym.

W rzeczy samej, gdy już krzak do szczytu był zniszczony, zwierz powrócił do stóp skały, na której młody myśliwy się usadowił i wlepił w niego małe swoje oczki, płonące wściekłym jakimś ogniem. Młodzieniec zaczął się niepokoić tym upartym prześladowaniem; oczywiście nosorożec postanowił sobie trzymać go w obłęzieniu przez czas nieograniczony i położenie jego stawało się bardzo niemiłe.

Godzina cała upłynęła bez żadnej zmiany, nosorożec nie ruszał się z miejsca, a niepokój młodzieńca wzrastał się z każdą chwilą. Dodajmy do tego że straszliwe pragnienie mu dokuczało; była to południowa godzina, promienie słońca padały prosto na jego głowę; siedząc na cyplu odkrytej skały, wystawiony był na upał najstraszniejszy, a tu nie miał ani uchrony żadnej, ani kropli wody, do ugaszenia pragnienia, nie mógł też przewidzieć, kiedy się zakończą jego męczarnie.

(D. c. n.).

Niteczka Aryadny (L. W.).

li	nie	je	zio	sny	słod	się	ro
do	Na	u	i	ra	kie	ły	i
mnie	spi	ła	śni	mo	szu	mi	ik
u	ka	ła	dym	drze	na	kwi	ga
wi	pieśń	sło	wiu	kie	żach	wa	tnie
sło	wik	czo	ra	tam	u	ró	ni
spie	od	wie	wie	ply	mi	ły	na
wa	czo	ra	do	wał	czas	mój	tam

Łamigłówka głoskowa (B. Z.).

a
d w g
c l o l n
a k i j i k a
h s o s ż
ó w z
a

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

Łamigłówki metamorfozy.

Ada — Ida.

Łamigłówki odwrotnej:

DumA
Elam
OstY
TorT
YedO
M6IE
AraD

Odpowiedzi od Redakcyi.

Stefkowi Kw. Łamigłówka bardzo dobra i już dana do druku, ukaże się w następnym N-rze w Dodatku. Ucieszyła nas bardzo wiadomość, że *Przygody Jasia* z takim zajęciem są czytane. Już niezadługo się skończą, ale potem nastąpią inne opowiadania niemniej ciekawe.

Natalci O. na Pradze. Za wszystkie serdeczne słówka, tak pochlebne dla *Wieczorów*, dziękujemy miłej korespondentce, a co do wiadomej sprawy, prosimy o cierpliwość. Wiemy, że teraz uczennice na pensjach najwięcej mają pracy, témbardziej wdzięczni jesteśmy za liścik tak ładnie i starannie napisany.

Maryni P. w Włoczewie. Pieniądze na dwa tomiki *Historii* odebraliśmy oddawna, widocznie jednak poczta jest nadzwyczaj nieakuratna w tamtych stronach, gdyż pierwszy tomik wysyłałszy dwa razy, nim doszedł, a teraz drugi po raz już trzeci wyprowadził pod opaską rekomendowaną, w nadziei, że tym sposobem już nie zaginie. My także z powodu tej nieakuratności poczt wiele mamy przykrości, ale na to trudna rada.

Emilce P. w Włoczewie. Liścik, tak pełny dla nas życzliwości, a tak ładnie i starannie napisany, ubawił nas i rozrzewnił zarazem. Trudno nam bardzo znaleźć, stosowną radę w kłopotcie, z którym miła nasza korespondentka do nas się udaje. Pragnęlibyśmy, aby wszyscy nasi czytelnicy byli tegoż samego zdania. Nie dziwimy się wcale, że księżniczka Katarzyna tyle sobie zjednała współczucia; w rzeczy samej charakter ten wybornie przez angielską autorkę został pochwyciony, a żywe i rozrzepane dziewczątka wszędzie są jednakowe.

Stasiowi B. w Targówku. Nie potrafimy już dziś wytlómaczyć, dla czego nie odpowiedzieliśmy w porę na liścik; w każdym razie przepraszamy bardzo za to zapomnienie, które musiało mieć jakiś powód. Zapewne liścik schowany był zbyt śpiesznie do koperty, gdzie się przechowują przyjęte łamigłówki, przed napisaniem odpowiedzi.

Tadziowi Kr. Nazwisko trafnie odgadnięte, ale to nie wystarczy do otrzymania nagrody, którą przyznajemy za rozwiązanie najlepiej napisane i zasługujące na wydrukowanie. Ponieważ zostawiamy na to dość czasu, więc jeszcze pora to naprawić. Bardzo nas ucieszyła wiadomość, że tak poważny przedmiot, jak *Pogadanki o sztukach pięknych*, zajmuje młodych czytelników.

Maryni St. w Ciecuiowie. Nie możemy odesłać żądanego N-ru ponieważ w liściku obok dokładnego adresu brak najważniejszej rzeczy, nazwiska. Serdecznie dziękujemy za miłą dla nas wiadomość, że nasze *Wieczory* z taką przyjemnością są czytane.

Wszystkich kochanych czytelników, którzy nadesłali rozwiązania zagadki historycznej, prosimy o cierpliwość. Nagroda dopiero za parę tygodni, jak zwykle, będzie przysądzona za rozwiązanie najdokładniejsze i najporządniej napisane, zasługujące na wydrukowanie.

PROSTAK WIEJSKI.

SŁOWA

Stefana Witwickiego.

Muzyka Dominika Stanisława Pawłowskiego.

Tempo di Polacca. Fastoso.

f Nie-wiem, gdzie tam le-piej ko - mu, Ka-żdy pa - nem
Mnie naj - le - piej w oj-ców do - mu, Więc rad sie - dzie

wła-snej wo - li. Nie - cie - ka - wym co tam po - da za - gra - ni - czna mia-stom
na-swój ro - li.

mo - da; Sie-je so - bie swe za-go - ny. Niech Bóg bę - dzie po-chwa - lo - ny!

Ritornello.